Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

№ 16 — CENA 40 gr.
WARSZAWA
5-VIII-1934 R.

WIR ŚWIATA

tygodniowa rewja prasy

DZIŚ W NUMERZE:

PUCZ WIEDEŃSKI

Opinja niemiecka

Pierwszego dnia: wypierają się i szkalują Dolfussa

W osobie Dolfussa zabito człowieka, który podjął się w swojem własnem imieniu kształtowania losów ludu austrjackiego. Imię tego kanclerza urosło do godności symbolu. W jego imieniu wydano kilka dni temu obrzydliwe rozporządzenie, upoważniające do bicia więźniów i znęcania się nad nimi. W jego imieniu, panuje w Austrji inkwizycja kliki, która trzyma się razem spojona tylko żądzą władzy i nienawiścią, i która ostatnio nawet nie zadawała sobie trudu upozorowania przynajmniej pewnej działalności konstytucyjnej. Pod panowaniem Dolfussa cały naród był śledzony przez szpiclów i nękany, dlatego, że nie chciał dzielić jego przekonań, setki i tysiące poważnych mężczyzn i kobiet niemieckich musiało iść do Dolfussowskich obozów koncentracyjnych, o których zgrozie uciekinierzy opowiadają niewiarygodne wprost rzeczy. Pod panowaniem Dolfussa grzmiały armaty przeciwko domom robotniczym Wiednia i organizacja marksizmu została w morzu krwi i zgrozy rozbita, dlatego że kanclerz Dolfuss nie potrafił osiągnąć tego celu przez podstawienie wielkiej idei. Pod panowaniem Dolfussa rozrosła się niemożliwie władza różnych kondotjerów, którzy zapytani o swoje kwalifikacje, mogliby tylko przedłożyć swój obficie zapełniony rejestr karny.

Pod Dolfussem objawiła się jednak w cudowny sposób wielkość i wierność ludu austrjackiego. Wierność ludu austrjackiego wobec głosu jego krwi, wobec posłannictwa dziejowego na straży południowych rubieży niemieckich. O tę wierność rozbił się polityk Dolfuss jeszcze przed śmiercią Dolfussa człowieka.

Dolfuss nie rozumiał znaków czasu. Przejęty średniowiecznemi pojęciami form państwowych i zadań społecznych, ośmielił się utrzymywać, że jego osoba i działanie mają specjalne posłannictwo dziejowe, podczas gdy pod jego rządami niedola duchowa i materjalna narodu austrjackiego przybrały przerażające rozmiary. Jeżeli jest coś tragicznego w losie Dolfussa, to jego niezrozumienie ducha czasu. Jego zbrodnia wobec przyszłości narodu austrjackiego zaś polega na tem, że denuncjował część narodu wrogo dla niego usposobioną, jako działającą w imieniu i z polecenia narodowego socjalizmu, podczas gdy w rzeczywistości zachodziły tu tylko albo marksistowskie akty zemsty, albo *akty rozpaczy politycznie niezorganizowanych.*

Dolfuss rządził bez narodu, we własnem imieniu, dla własnej ambicji wykorzystywał wszystkie środki nowoczesnego państwa, by bez najmniejszej idei twórczej, bez minimalnego nawet chwilowego sukcesu, narzucić Austrji swoją tyranję. Aż w ostatnich tygodniach swojej władzy znalazł się we wrzącym kotle nieustannych ruchów i aktów rozpaczy, w których gnębiony naród szukał wyzwolenia.

Los zamachowców, którzy kanclerzowi śmierć zgotowali, jest prawdziwym symbolem ery Dolfussa. Po większej części byli to członkowie armji związkowej, których Dolfuss spowodu ich przekonań otoczył szpiclami i których dla tych samych powodów pozbawił chleba i środków utrzymania. Prawdziwa gromada zrozpaczonych, wpadli oni do urzędu kanclerskiego, by dokonać porachunku za swoje poniewieranie. W tym wybuchu wściekłości zrozpaczonych którymi *nie kierował żaden zamiar polityczny,* znalazł swoją śmierć kanclerz Dolfuss. On to potrafił pogrążyć w największej rozpaczy najpogodniejszy lud w sercu Europy. *We Wiedniu, w mieście uśmiechu i walca, zabili kanclerza Dolfussa, ludzie doprowadzeni do rozpaczy.*

Część prasy zagranicznej starała się i w tym wypadku, jak zwykle zresztą skierować podejrzenie na narodowy socjalizm i uczynić go odpowiedzialnym za zabójstwo kanclerza Dolfussa. Ledwie ukazały się pierwsze komunikaty o zamachu, już się zaczęła nagonka prasowa. Dziś są już wiadome liczne szczegóły o wypadkach w Austrji, a wszystkie są dowodami na to, że narodowy socjalizm, który już na podstawie swojego światopoglądu odrzuca tego rodzaju akty gwałtu, nie ma nic wspólnego z temi wypadkami. Podkreślić należy, że austrjackie placówki urzędowe kilkakrotnie prosiły niemieckiego posła we Wiedniu o interwencję, choć doskonale sobie musiały zdawać sprawę z tego, że stawiają przedstawiciela obcego państwa w niemożliwej sytuacji. Rząd niemiecki odpowiedział na to mieszanie się w cudze sprawy, nie licujące z rolą posła natychmiastowem jego odwołaniem. Członkowie rządu austrjackiego będą jednak musieli przyznać, że postępowaniem posła niemieckiego kierowała tylko myśl niedopuszczenia do większego rozlewu krwi. Wiedeńskie radjo zresztą samo podało wiadomość, że chrześcijańsko-społeczny Dr. Rintelen ma objąć urząd Dolfussa, co również wskazuje na to, że narodowy socjalizm nie ma nic wspólnego z zamachem w Austrji.

„Voelkischer Beobachter“ Berlin.



Walczyk wiedeński w 20 rocznicę. *„Daily Express“, Londyn.*

Dwa dni później: nieporozumienie

Kiedy pierwsze wieści o rozruchach wiedeńskich nadeszły do Niemiec, cały naród śledził ich rozwój z zapartym oddechem. Nie dlatego, że tam rozgrywał się „zamach inscenizowany z Berlina“, lecz dlatego, że Rzesza Niemiecka z całego serca życzy sobie, by austrjaccy rodacy związani z nami spójnią krwi, mogli wreszcie osiągnąć normalne, pokojowe warunki rozwoju wewnętrznego i zewnętrznego.

To duchowe współczucie i zainteresowanie narodu niemieckiego w wypadkach austrjackich było też motywem, który kierował krokami niemieckiego posła we Wiedniu. Poseł dał się powodować troską o niedopuszczenie do większego rozlewu krwi i dlatego, nie pytając przedtem o zdanie Berlina, pośredniczył między powstańcami a rządem austrjackim. Führer

(Dokończenie na str. 2)

(Dokończenie ze str. 1)

zwrócił się natychmiast do prezydenta Rzeszy z prośbą o odwołanie tego posła i zadokumentował tem samem, że nie jest jego życzeniem, by jakakolwiek niemiecka placówka angażowała się w sprawach wewnętrzno-austrjackich. Tak samo wyraźne były dalsze środki przedsięwzięte przez kanclerza.

Pozatem Führer nakazał przeprowadzić ścisłe śledztwo, czy jaka inna placówka, lub instytucja niemiecka nie są wmieszane w wypadki austrjackie. I to śledztwo wykazało, że żadnej ingerencji niemieckiej nie było. W jednym wypadku urzędnik, który się tego dopuścił, został natychmiast pozbawiony swego urzędu.

Później Führer uczynił jeszcze jeden ważny krok. Wystosował do v. Papena list i zamianował go posłem nadzwyczajnym we Wiedniu. Adolf Hitler daje przytem v. Papenowi specjalne poruczenie, by doprowadził do odprężenia sytuacji i skierował zakłócone stosunki z państwem niemiecko-austrjackiem na tory przyjazne i normalne.

Zadanie, jakie Führer poruczył p. v. Papen, dowodzi wyraźnie, że ze strony Rzeszy Niemieckiej niema najmniejszego zamiaru naruszenia niepodległości Austrji. Naprężenie stosunków w ostatnich miesiącach uważane jest za nieporozumienie natury dyplomatycznej, mające być rozwiązane środkami dyplomatycznemi.

Hitler stale podkreślał, że Niemcy pragną tylko pokoju z wszystkiemi państwami i potrafił już tym swoim aspiracjom pokojowym nadać kształty konkretne. Przedewszystkiem jednak Rzesza życzy sobie pokoju z tem państwem, z którem jest związana wspólnością języka, krwi i kultury.

W tym celu v. Papen jedzie do Wiednia. Świat zaś może z tego wywnioskować, że narodowo-socjalistyczny rząd nie zamierza bynajmniej zająć wobec Wiednia stanowiska rozkazodawcy. Rzesza tak szanuje państwowość austrjacką i jej niepodległość, że to leży w zwyczajach międzynarodowych.

„Voelkischer Beobachter“, Berlin.

Opinja angielska

Zamach opryszków

Ci, którzy napadli na gmach kanclerski, nie byli ludźmi żelaznej woli, zdecydowanymi do objęcia władzy za wszelką cenę, lecz wulgarnymi opryszkami, którzy kradli zegarki, przeszukiwali szuflady i zabierali drobne pieniądze, jakie się tam znajdowały. Dziś rano przyniesiono do urzędu kanclerskiego zegarki i pieniądze i pozwracano prawowitym właścicielom, którzy mogli swoje rzeczy rozpoznać.

Tylko liczebna przewaga nad strażą umożliwiła tym nazim zawładnięcie gmachem. Austrjacy, za wyjątkiem zdemoralizowanych typów zbrodniczych, nie są jeszcze przystosowani do „wojny w czasach pokojowych“ prowadzonej metodami gangsterowskiemi. Wątpliwe jest, czy Heimwehra i żandarmerja, które obecnie gmach otaczają, są wystarczające dla jego ochrony.

Bez glejtu, bez przepustki przekroczyłem dziś rano jeden po drugim wszystkie kordony straży, nie molestowany przez nikogo i tak doszedłem aż pod same drzwi prezydenta Austrji, p. Miklasa. Wkońcu obudziłem straż z letargu, pytając się o kierunek drogi. Otóż te straże mają ścisły rozkaz legitymowania i zatrzymywania nawet urzędników państwowych nieposiadających przepustki.

Korespondent własny
„The Morning Post“, Londyn.

Opinja włoska

Niepodległość Austrji musi być utrzymana

W walce o opanowanie Austrji przemocą Niemcy wykazały, że lekceważą sobie wolę mocarstw, że nie rozumieją, iż niektóre z tych mocarstw uważają niepodległość Austrji za conditio sine qua non pokoju europejskiego. Bezustannem podniecaniem, podszczuwaniem i zaognianiem stosunków Niemcy doprowadziły do przelewu krwi i do zabójstwa patrjoty, który nie miał innej winy prócz tej, że miłował ziemię ojczystą. Czyżby rzeź wiedeńska łączyła się bezpośrednio lub też pośrednio z analogicznemi wypadkami w Niemczech? Może jest to ciąg dalszy, refleks, a może epizod, inscenizowany dla złagodzenia pewnych, zbyt żałosnych wrażeń?

Historja dostarcza nam przykładów rzezi, które wkońcu jednak doprowadziły do zmian politycznych; zgładzenie jednak kanclerza Dolfussa wydaje nam się podwójnie tragiczne, albowiem z niego nie wyniknie nic, coby odpowiadało jawnym czy ukrytym życzeniom zagranicy. Jakkolwiek wielki był wpływ zmarłego, jego wola niezłomna a polityka zręczna, problem austrjacki nie redukował się do jego osoby. Jest to problem międzynarodowy, którego dwa, trzy strzały rewolwerowe nie rozwiążą. Najpierw Niemcy domagały się Anschlussu w dosłownem znaczeniu, potem usiłowały zamaskować Anschluss pozorami tak zwanej Zollunion; po powtórnych zakusach na Anschluss, Niemcy sądzą, że sprawy szybciej będą załatwione, o ile usunie się tych, którzy nie chcą poddać się tezie niemieckiej: „jeżeli nie chcesz być mi bratem, będę tobie katem“.

My opłakujemy zgon przyjaciela i uczcimy pamięć tego przyjaciela, dotrzymując przyrzeczenia, jakieśmy mu dali. Przedewszystkiem jednak Włochy sprzeciwiały się i sprzeciwiać się będą wszelkim zakusom zamachu stanu zzewnątrz w Austrji, albowiem właśnie dlatego, że Włochy stały się rzecznikiem rewizji traktatów pokojowych, przeciwnych uczuciom narodów, muszą one przeciwstawiać się wszelkim gwałtom na szkodę bezbronnych małych narodów i zakusom zmian traktatów pokojowych, realizowanych środkami traktatowemi i przy cynicznem lekceważeniu interesów zainteresowanej strony trzeciej.

„La Stampa“, Turyn.

Opinja francuska

„Demarche” dyplomatyczne nie wystarczą

Choć porządek został w stolicy i w większej części kraju przywrócony, nie należy się łudzić, że niebezpieczeństwo już zupełnie minęło i że zwyczajne zapełnienie powstałej luki w danym wypadku wystarczy. Nie wolno przedewszystkiem myśleć, że nazi nie dopięli swego. W rzeczywistości osiągnęli oni swój cel w znacznej mierze. Zabili kanclerza Dolfussa. Kanclerz Dolfuss nie był wielkim mężem stanu — nie przy jednej sposobności wskazywaliśmy na jego błędy, był on jednak odważny: jedyny albo prawie jedyny wśród osobistości politycznych Wiednia nie cofał on się przed perspektywą śmierci na posterunku. Pogłowie polityczne, które po nim następuje jest niezmiernie lekkie i gotowe do ustępstw, byle podmuch je może rozproszyć. Szczegółowe sprawozdanie wypadków wiedeńskich podane przez Daily Telegraph jest pod tym względem niezmiernie pouczające. Major Fey, którego obowiązkiem było pilnowanie bezpieczeństwa publicznego zawiódł na całej linji. Udzielenie zamachowcom glejtu żelaznego stanowi hańbę. Nie można się oprzeć wrażeniu, że zdrada szalała w otoczeniu ministerstwa, jeżeli nie wśród samych ministrów. Dowodzi tego samobójstwo posła austrjackiego w Rzymie Rintelena, i fakt, że garnizon znajdował się w tej chwili za miastem na ćwiczeniach.

Rząd berliński, oceniając rozmiary osiągniętego sukcesu, uznał za korzystne zdezawuować swojego posła wiedeńskiego, który podjął się interwencji na rzecz morderców. To drobne pociągnięcie, które w niczem nie podważa osiągnięty tych rezultatów, nie powinno nikogo łudzić. Jeżeli mocarstwa okażą się, jak to jest w ich zwyczaju, małodusznemi, teroryzm brunatny wkrótce nanowo wybuchnie i pewnego wieczora staniemy wobec faktu dokonanego: wobec rządu austrjackiego, w którym nazi będą mieli większość. By przywrócić zaufanie masom austrjackim, ponajwiększej części apatycznym i fatalistycznie nastrojonym, nie wystarczą demarche dyplomatyczne. Wkroczenie wojsk włoskich do Karyntji i koncentracja wojsk czeskich na granicy austrjackiej, odległej od Wiednia o 80 km. zaledwie, oto środki, które mogą zapobiec niebezpieczeństwu.

W tym splocie wydarzeń wielka odpowiedzialność ciąży na Mussolinim. Od roku przyjął on na siebie rolę obrońcy niepodległości austrjackiej. Myśmy uczcili to stanowisko w lutym b.r. Niestety Mussolini nie ustrzegł się kilku bardzo poważnych błędów. Nie ocenił on należycie zachłanności germańskiej, i myślał, że aby ją od tej małej republiki odwrócić, wystarczy przyznać Niemcom równouprawnienie zbrojeń.

Kanclerz Dollfuss na łożu śmierci.

Tem on tylko podniecił chciwość niemiecką. Dalej zamiast szukać współpracy Małej Ententy, której cele są, jeżeli się spojrzy na rzeczy z wyższego punktu widzenia, identyczne z celami jego ojczyzny, trwał on uparcie przy mrzonce o Węgrzech oderwanych od germanizmu i wprzęgniętych w usługi jego dyplomacji. Teraz rzucono mu wyzwanie. Człowiek, którego wczoraj zamordowano, był jego protegowanym. Chcemy wierzyć, że potrafi on go pomścić, nawet za cenę naprawy tych błędów, które można mu zarzucić. W każdym razie Londyn i Paryż nie powinny zaniechać niczego, coby mu mogło tę ewolucję polityczną ułatwić.

Pertinax „Echo de Paris“, Paryż.

Ostre potępienie

Prasa włoska w ostatnich dniach zwracała uwagę na powagę sytuacji w Austrji.

Życie austrjackie było niespokojone nie dlatego, że wola narodu przeciwna była woli rządu, lecz przeciwnie, dlatego, że zamachy, które uderzały zwykle w niewinnych, paraliżowały ruch i niszczyły majątek publiczny — były dziełem „nieznanych“ ludzi, którzy aż zanadto dobrze byli znani w kołach narodowo-socjalistycznych. A że cała Austrja solidaryzowała się z rządem, dowodzi fakt, że nigdy nie solidaryzowała się z moralnymi i materjalnymi sprawcami tych wszystkich **zbrodni.**

Przez usunięcie Dolfussa nie dokonano żadnej zmiany politycznej. Państwo jest panem sytuacji. Dziś bardziej niż kiedykolwiek reprezentuje ono sztandar niepodległości narodowej. W obecnym stanie rzeczy i według ostatnich wiadomości sytuacja polityczna pozostaje niezmieniona. Rząd będzie miał wiele trudnych zadań do spełnienia, ale może on liczyć nietylko na poparcie narodu austrjackiego: cały świat cywilizowany darzy sympatją państwo austrjackie, które musi bronić swojej niepodległości kosztem aż tak wielkich ofiar.

Kiedy będą znane wszystkie szczegóły tych smutnych dni, będzie można dokładniej ocenić wypadki i osądzić, kto za nie jest odpowiedzialny. Wydaje się jednak już w tej chwili bardzo dziwne, że w obronie zamachowców, zamkniętych w pałacu kanclerskim, przemawiał przedstawiciel obcego państwa.

Opinja publiczna Włoch pilnie śledzi wypadki austrjackie ze spokojem i zimną krwią, nie zbaczając od raz powziętego kierunku.

„Corriere della Sera“, Medjolan.

Opinja austrjacka

Wiedeń zachowuje zimną krew

Gest Hitlera jest niezwykłą inowacją w tradycyjnych stosunkach dyplomatycznych. Przedewszystkiem nie zwrócił on się przed zamianowaniem v. Papena do rządu austrjackiego o agrément, dalej oświadczył on Papenowi, że będzie on zależny bezpośrednio od niego, innemi słowy, że nowy poseł zamiast podlegać ministerstwu spraw zagranicznych w Berlinie, będzie podlegał bezpośrednio szefowi stronnictwa narodowo-socjalistycznego. Znaczy to, że dyplomacja niemiecka zamierza traktować Austrję zupełnie inaczej, niż wszystkie inne państwa. Życzenie unormalizowania stosunków z Austrją jest niewątpliwie bardzo pożądane dla odprężenia stosunków w Europie, ale zostało ono okupione śmiercią niezapomnianego męża stanu. Rozumie się samo przez się, że w ramach tego zbliżenia nie znajdzie się w przyszłym rządzie austrjackim miejsca dla żadnej z tych grup, które bezpośrednio, czy pośrednio są odpowiedzialne za śmierć kanclerza Dolfussa.

My, austrjacy, czekamy z najzupełniejszą zimną krwią na dalszy rozwój wypadków, z udziałem czy też bez udziału v. Papena. Pucz swastyki zakończył się zupełnem fiaskiem. Nasz rząd, silny dzięki zaufaniu całego świata, jest całkowicie panem sytuacji.

„Die Stunde“, Wiedeń.

———

Opinja polska

Kryzys austrjacki czy kryzys międzynarodowy?

Utrzymanie niepodległości — zadaniem ponad ludzkie siły

Analogja pomiędzy zamordowaniem ś. p. kanclerza Dolfussa a mordem sarajewskim sprzed 20 laty jest zbyt uderzająca, by nie wywoływać refleksyj na całym świecie. Ówczesny mord był rezultatem agitacji zmierzającej do oderwania od przedwojennej Austrji pewnych prowincyj, obecny mord jest wynikiem akcji, która zmierza do wykreślenia definitywnego Austrji z karty Europy. Ówczesny mord wywołał najżywsze zaniepokojenie w Berlinie, gdzie obawiano się rozkładu Austrji. Dzisiejszy mord wywołuje niepokój we wszystkich stolicach, które wiedzą, że utrzymanie niepodległości Austrji jest zadaniem niemal ponad ludzkie siły.

(Dokończenie na str. 3)

(Dokończenie ze str. 2)

Ktokolwiek zostanie następcą Dolfussa, jego zadanie będzie nad wyraz ciężkie. Kraj zrujnowany, ludność podniecona, ciągła groza wojny domowej, podsycana zzewnątrz, szeregi rządzących, przerzedzone skrytobójczemi zamachami (Seipel, Dolfuss), niedawno jeszcze wyschłe ślady krwi z walk lutowych na Floridsdorfie.. W tych warunkach reżim austrjacki musi się stać hitleryzmem anty-hitlerowskim, hitleryzmem austrjackim dla zwalczania hitleryzmu niemieckiego, hitleryzmem lokalnym, którego racja bytu tkwi już nie w powodach wewnętrznych, ale czysto zewnętrznych. Konflikt austrjacko-niemiecki staje się z konfliktu dwuch systemów rządzenia czystym konfliktem dwuch państw, dwuch narodów.

Polska w tej grze jest outsiderem, jest obserwatorem uważnym, ale pasywnym. Drugi raz naszej kawalerji na odsiecz Wiednia — szlakiem Sobieskiego — nie wyślemy. Odstępujemy zupełnie naturalnie pierwsze skrzypce najbardziej zainteresowanym mocarstwom w dalszym rozwoju wypadków austrjackich. Śledzimy tylko uważnie przebieg wypadków i wyciągniemy z nich wnioski, jaki walor zobowiązaniom i obietnicom niemieckim przypisywać należy.

„Czas“, Warszawa.

Nie można walczyć na dwa fronty

Kanclerz Dolfuss padł ofiarą mylnego ujmowania spraw, do których rozwiązania zabrał się z taką energją i zapałem. Zdaniem Dolfussa można było rządzić Austrją, mając przeciw sobie i socjalistów i hitlerowców. Był to błąd zasadniczy. W decydującej chwili pozostał osamotniony. Nieliczni i słabi w gruncie rzeczy przyjaciele polityczni woleli się nie angażować.

*

Co będzie dalej? Czy kilkuletni wysiłek Dolfussa, idący w kierunku utrzymania Austrji, jako państwa, zwalczającego zarówno socjalistów, jak hitlerowców, pozostawi jakiś ślad realny — oto pytanie, które dziś zawisło nad Europą. Odpowiedź na nie nie jest ani łatwa, ani prosta. Ale jedno wydaje się bezsporne: jeżeli Austrja zechce dalej prowadzić politykę samodzielną, jeżeli w dalszym ciągu w polityce zagranicznej utrzymane zostaną dotychczasowe wytyczne, albo przyjść musi do władzy człowiek o wyjątkowych kwalifikacjach, albo też przyszły rząd będzie musiał szukać bezpośrednio kontaktu ze społeczeństwem. Chodzi tylko o to, czy przyszły rząd będzie szukać oparcia na lewicy, czy u hitlerowców. Na razie, sądząc z zachowania się członków gabinetu Dolfussa, którzy w dalszym ciągu stoją u steru, liczyć się raczej należy z tem drugiem.

„Kurjer Polski“, Warszawa.

Nowe metody niemieckie

Wystarczy tylko przypomnieć sobie, jakie wrażenie wywołał wszędzie zagranicą sposób rozprawiania się rządu austrjackiego z socjalistami pięć miesięcy temu. Ale jakże to zbladło w porównaniu z nocą z 29 na 30 czerwca w Niemczech? A jak blednie i tamta rozprawa wewnętrzna w zestawieniu z tak jaskrawem i tak krwawem mieszaniem się w sprawy sąsiedniego państwa?

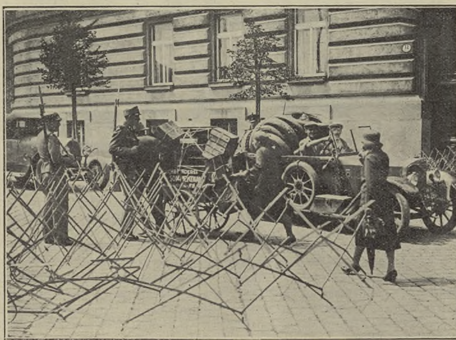
Organizowanie przez Niemcy zamętu austrjackiego nie ulega przecież żadnej wątpliwości. Propaganda radjowa, utrzymywanie w Bawarji legjonu austrjackiego i środków wybuchowych świadczą o tem aż nazbyt wyraźnie.

To są „nowe“ metody polityki. A w gabinetach zachodnio-europejskich operuje się jeszcze ciągle pojęciami staremi. Co najwyżej — „zbiorowe demarche“, albo też (maximum energji!) oddanie sprawy przed bezsilną Ligę Narodów. Wszystko to zaś na tle nieustannych pertraktacyj dokoła sprawy, czy zbrojenia niemieckie mają być legalne czy nielegalne. Bo że są i że się ciągle zwiększają, o tem wszyscy wiedzą. Ale wszyscy udają, że nie wiedzą po co.

*

Nowe metody polityki niemieckiej, rozwijane stopniowo od zakończenia wojny, triumfują nieustannie, choć się zmieniają ich taktyczne chwyty, pozostaje niezmienna treść zasadnicza, a tą jest: polityka na raty.

Na raty, krok za krokiem, strząśnięto z siebie ciężar odszkodowań wojennych, na raty odbywa się przemiana Niemiec w wielkie ognisko groźnego militaryzmu, na raty dokonywa się kruszenie powojennego porządku w Europie.



Zasiek przed domem, gdzie są uwięzieni zamachowcy.

Doświadczenie wojny światowej nauczyło Niemcy unikać zwartego bloku przeciwników.

„A. B. C.“, Warszawa.

Zniszczono podstawy reżimu Dolfussa

Ale Dolfuss, posłuszne narzędzie Heimwehry i faszyzmu włoskiego, sądził, że wypędzi djabła belzebubem, że faszyzm hitlerowski pokona przy pomocy faszyzmu rodzimego, wspieranego przez Włochy. Zdławił we krwi sprowokowane przez siebie powstanie robotnicze i rzucił Austrję na pastwę dyktatury najskrajniejszej reakcji, samowoli policyjno-żandarmskiej, korupcji i demoralizacji. Zawarł przymierze z Włochami i Węgrami, skierowane przeciw Niemcom.

O samym zamachu można powiedzieć, że nie udał się on pod względem pozytywnym, albowiem nie wyniósł do władzy hitlerowców. Ale zamach powiódł się w tem znaczeniu, że zniszczył do reszty i te wątłe podstawy, na których się trzymał rząd Dolfussa.

„Robotnik“, Warszawa.

Walka faszyzmów

Mści się tu zniszczenie sił demokratycznych w Austrji przez tegoż Dolfussa, które odbiera walce z hitleryzmem jedyną podstawę, jaką mógł znaleźć wewnątrz kraju. Walka toczy się pomiędzy dwiema „obcemi agenturami“, między wpływami dwu sąsiadów. I dlatego jest bardzo ciężka. I dlatego jest mało popularna. I dlatego jest beznadziejna.

Europa środkowa nie może uspokoić się w systemie dyktatur, jaki ją objął. Walka rozmaitych faszyzmów zaostrza się coraz bardziej, zamieniając środkową Europę w punkt najbardziej niebezpieczny dla pokoju. Mimo całej niechęci, jaką na zachodzie budzi polityka „kordonu sanitarnego“ wokół hitlerowskich Niemiec, polityka ta narzuca się coraz bardziej. Wypadki wiedeńskie na dalszy rozwój tej sprawy wywrą ogromny wpływ.

„Wieczór Warszawski“, Warszawa.

Brak turystów niemieckich a ruch hitlerowski w Austrji

SWASTYKA NAD AUSTRJĄ

Gigantyczna swastyka, jaką narodowi socjaliści rok temu wymalowali na skalistej ścianie góry, jest jeszcze wciąż rzucającym się w oczy drogowskazem na przestrzeni kilku mil dokoła Insbrucku. Żaden członek Heimwehry, faszystowskiej organizacji księcia Stahremberga, ani Faterländische Front, stronnictwa D-ra Dolfussa, nie zdobył się na energję, ani na zapał pierwszego artysty i nie wspiął się na tę urwistą skałę, by wymazać symbol swego politycznego wroga.

Ta swastyka ma swoje miejsce odbicia w licznych dolinach Tyrolu i Vorarlbergu (Przywarulanji). Namalowano je w pośpiechu i ukradkiem na drzewach, szopach, mostach kolejowych — wszędzie, gdzie istnieje prawdopodobieństwo, że zwrócą na siebie uwagę przechodnia i przypomną mu podziemne istnienie zakazanej partji narodowo-socjalistycznej. Często w nocy ukazuje się na stokach gór ognista swastyka, zapalana przez nieznane osoby.

Trzeba to sobie powiedzieć otwarcie: cudzoziemcy mylą się, jeżeli oświadczają, że te swastyki są tylko symbolem nic nie znaczącej mniejszości gorących głów młodzieńczych. Stopniowo stają się one symbolem przekonań politycznych większości ludu austrjackiego.

Mimo tylu rozczarowań ludzie ci jednak wierzą, iż los ich poprawi się, kiedy połączą się z Rzeszą. Miażdżeni codzienną troską, jak koniec z końcem powiązać, nie zastanawiają się zbytnio nad ewentualnemi skutkami zlania się z Trzecią Rzeszą.

Dr. Dolfuss i jego drobna klika, która go podtrzymuje, lepiej sobie zdają sprawę z różnic między temperamentem austrjackim a pruskim i z powikłań, mogących wyniknąć z połączenia się z Trzecią Rzeszą. Większość jednak jego rodaków zajmuje się zagadnieniem bezpośredniejszem jak zarobić na życie. Pamiętają oni obietnicę Hitlera, że jak tylko partja narodowo-socjalistyczna będzie w Austrji przywrócona do swoich praw, Niemcy znowu będą gościć w ich, obecnie pustych, hotelach.

Opłata tysiąca marek, jaką Hitler obciąża obywateli niemieckich, udających się do Austrji, rujnuje w szybkiem tempie przemysł hotelowy Tyrolu, Vorarlbergu i okolic.

Kilka dni temu młody narodowy socjalista we wsi Ehrwald opisywał mi ryzyko i niebezpieczeństwo, na jakie naraża czynne wyznawanie ideologji narodowo-socjalistycznej. Jego żona, powiadał mi, odbyła karę czterech tygodni więzienia, za to, że wyrwało się jej „Heil Hitler“ w obecności członka Frontu Ojczyźnianego.

TAJNE ZEBRANIA

Ten młody góral sam regularnie uczęszcza na zebrania narodowo-socjalistyczne, które odbywają się gdzieś wieczorami w samotnych okolicach, pod gołem niebem. Tu zebrani narodowi socjaliści dodają sobie wzajemnie otuchy i zachęcają się do wytrwania w niepaleniu tytoniu, co narazi na szkody monopol państwowy. Tu czytają dodające wiary listy austrjackich nazich, przebywających w kwaterze głównej w Monachjum, tu wkońcu wydaje się członkom partji polecenia i wyznacza się rejony, gdzie mają malować lub zapalać swastyki.

Jest coś fascynującego w tej konspiracji, a to działa na wyobraźnię młodych ludzi wiejskich. Próżne hotele w Ehrwaldzie, leżącym u stóp Zügspitze, który normalnie jest miejscem pielgrzymki dla niemieckich turystów i alpinistów, tłumaczą resztę.

To samo można powiedzieć o każdej prawie miejscowości w Austrji, o każdej wsi, albowiem przemysł turystyczny z jego rozległemi rozgałęzieniami dotyczy prawie każdej rodziny na wsi.

Sposobności narażania rządu na przykrość zmieniają się zależnie od miejscowości. W ramach wysiłków sabotowania rządu Dolfussa pod względem finansowym nazi wiedeńscy nietylko nie palą, ale wstrzymują się również od uczęszczania do kąpielisk municypalnych.

Wielu wrogów Dolfussa przystąpiło do frontu ojczyźnianego ze względów ostrożności. We Wiedniu krąży dowcip, że aby móc swoje barwy pokazać, nazi muszą zamalowywać oznaki frontu ojczyźnianego na jednym rogu a socjalistyczne na drugim.

Naogół front ojczyźniany nie cieszy się zbyt pochlebną opinją. Istnieje w centrum Wiednia urząd propagandowy frontu ojczyźnianego, ma on nawet filje na prowincji, ale tu podejrzewają, że jest on subwencjonowany przez bogatych żydów, którzy mają swoje racje, aby Dolfuss się przy władzy utrzymał.

Wierność Heimwehry, drugiego czynnika, na którym Dolfuss opiera się, mniej podlega kwestji. Wódz Heimwehry, książę Stahremberg jest młody i pochodzi z rodziny zaszczytnie znanej w historji austrjackiej, ale Heimwehra jest źle wyekwipowana i źle wyszkolona.

Istnieje wiele przykrych objawów w Trzeciej Rzeszy, z których mili austrjacy nie zdają sobie jeszcze sprawy, ale Hitler sam jest austrjakiem i przemawia ich językiem, pozatem, a raczej przedewszystkiem, obiecał on im przysłać turystów, którzy mogą ich wybawić z ruiny. Dr. Dolfuss zawarł traktat handlowy z Mussolinim. Lecz podczas długiej podróży po Austrji nie spotkałem ani jednego auta włoskiego, podczas gdy dawniej setki aut niemieckich na drogach austrjackich, były podczas week-end'ów rzeczą zupełnie normalną. Opłatą tysiąca marek Hitler powoli Austrję zdobywa.

„The Morning Post“, Londyn.

Faszyzm, ale inny

Niepozorny ten człowiek, skromny uczeń ks. Seipla, był piastunem idei niezależności Austrji, jako pewnego typu cywilizacji i myśli niemieckiej. Nie był on, zdaje się, obojętny na hasło zjednoczenia całego narodu niemieckiego, lecz pragnął, by ten zjednoczony naród posiadał pewien typ cywilizacyjny. Chciał dać Austrji ustrój, nie różniący się w swym typie od ustroju, do jakiego zmierzają Mussolini i Hitler, lecz nadawał mu piętno własne, odrębne. Wydawało mu się, że zastosowawszy się do ducha czasu, potrafi obronić Austrję przed hitleryzmem.

Czas najbliższy pokaże, czy te jego nadzieje były uzasadnione. Dla nas nie jest rzeczą najważniejszą zagadnienie, czy Austrja potrafi jeszcze zachować swą odrębność państwową, czy kanclerz Dolfuss znajdzie kontynuatorów, zdolnych do prowadzenia dalej jego polityki. Rzeczą o wiele bardziej interesującą i ważniejszą jest to, czy są w Austrji i w Niemczech południowych ludzie, którzy mają takie same jak zmarły poglądy na rolę dziejową narodu niemieckiego i na jego typ cywilizacyjny. Gdyby ludzie tacy byli, to, być może, odegraliby oni o wiele większą rolę w razie zjednoczenia Austrji z Niemcami, niż przy odrębności państwowej małej Austrji.

„Gazeta Warszawska“, Warszawa.

TYBET W POSZUKIWANIU WŁASNEJ DUSZY

W niedostępnej krainie Tybetu czynione są nieustanne poszukiwania dziecka, w którem ucieleśniona jest dusza zmarłego Dalaj Lamy. Znaczenie tych poszukiwań i stałe miejsce, jakie zajmuje religja w życiu Tybetańczyków, zobrazowano w poniższym artykule Sir Francis Younghusband'a. Wybitny żołnierz i dyplomata, — autor artykułu był komisarzem brytyjskim w Tybecie w latach 1902-04. Rysunki są dziełem słynnego podróżnika Sven Hedin'a.

Tybet jest w poszukiwaniu swojej duszy. Chwilowo kraj ten pozostaje bez niej. Dalaj Lama umarł kilka miesięcy temu. Znaczy to, że porzucił ludzkie ciało, które zajmował przez ostatnie pięćdziesiąt czy sześćdziesiąt lat i wstąpił w nowe ciało, ciało niemowlęcia, urodzonego w tym samym mniej więcej czasie, kiedy tamten wyzionął ducha. I to dziecko właśnie będzie przedmiotem poszukiwań w całym Tybecie w ciągu najbliższych trzech albo czterech lat.

A to dla Tybetańczyków znaczy bardzo dużo — właściwie wszystko. Dla Tybetańczyków bowiem religja jest najważniejszą rzeczą w życiu. Są oni przeświadczeni, że w religji swojej posiadają coś nieskończenie wartościowego, co muszą cenić więcej, niż wszystko na świecie. Nie mają oni najmniejszej chęci podzielić się swoją religją z resztą ludzkości, propagować ją wśród innych mieszkańców kuli ziemskiej. Im więcej bowiem oddadzą, tem mniej sami będą mieli — to jest sposób ich rozumowania. Obawiają się nawet, ażeby im tej religji nie skradziono; nieraz bywa, że złodzieje zakradają się do jakiegoś domu i kradną biżuterję. Stąd pochodzi ich niechęć do dopuszczania cudzoziemców do swego kraju.

Dużo czasu kosztowało mnie, aby poznać, jak wielką jest siła ich przywiązania do religji. Wiedziałem, że Tybetańczycy są narodem bardzo zamkniętym i lubią pozostawać sam na sam ze sobą. A im więcej widziałem Tybetańczyków, tem więcej nad tem ubolewałem.

Jest to bowiem z natury naród miły, towarzyski, prosty, grzeczny, o dobrych obyczajach, z którym przyjemnie jest spotykać się i mieć do czynienia. Aby jednak poznać głęboką przyczynę tego dążenia do odseparowania się od reszty świata, musiałem stracić lata całe. Trzydzieści lat temu, kiedy Lord Curzon wydelegował mnie jako szefa misji do Tybetu, która miała na celu uregulowanie stosunków brytyjskich z tym krajem, graniczącym z Imperjum Indyjskiem na przestrzeni tysiąca mil, nie wiedziałem nic absolutnie o tym narodzie, oprócz jednego faktu, że jest to naród bardzo zamknięty w sobie. Miałem przeto za zadanie poznać go.



Pierwszy Taszi Lama.

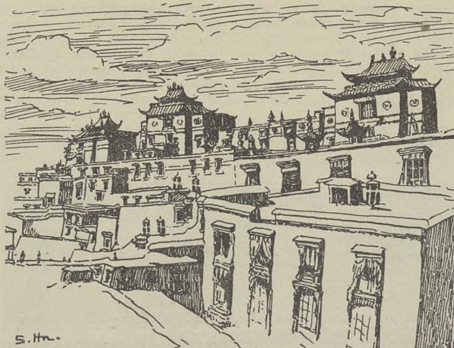
TAJNIKI DUSZY TYBETAŃSKIEJ

Przechodziłem przez grupy żołnierzy, zwyczajnych chłopów ze wsi; byli oni dość przyjemni — weseli, zadowoleni i uśmiechnięci. Byłem przedstawiony dwu generałom; oni również byli dość uprzejmi — grzeczni i gościnni. Ale zdala w pokoju znajdowali się trzej lamowie z Lhassy. Ich wygląd był już zupełnie inny — twarze nachmurzone i nieubłaganie wrogie. A oni właśnie byli tymi, którzy panowali nad sytuacją.

Tu miałem Tybet w miniaturze: Chłopstwo, klasy średnie i stan duchowny. Chłopstwo było przyjazne, również średnia klasa obywatelska była przyjazna. Jedynie tylko duchowni byli wrogo usposobieni. A oni to właśnie, z Dalaj Lamą na czele, rządzili Tybetem.

Tybetańczycy są wyjątkowo wytrwałym narodem. Z trudem dają się poruszyć. Ale co raz zdobyli, tego mocno się trzymają. Kilkaset lat temu przyjęli oni religję buddyjską. Jestto naprawdę zbyt subtelna i delikatna religja dla tak silnego, męskiego, aktywnego narodu górskiego, jak Tybetańczycy. A jednak oni tę religię przyjęli. I raz przyjąwszy, już stale i wiernie się jej trzymają.

Ale przystosowali ją do własnego sposobu myślenia. Muszą oni mieć coś konkretnego, coś widzialnego i namacalnego, jako objekt ubóstwiania. Przez setki lat Tybetańczycy nie mogli znieść myśli, że Dalaj Lama — jedyny, który naprawdę wprowadził buddyzm w Tybecie — miał odejść na zawsze. Przecież chyba ich nie porzuci na łaskę losu? Chyba duch jego pozostanie z nimi, aby czuwać nad nimi i być ich przewodnikiem? A jeżeli jego stare ciało jest zużyte, co może być naturalniejszego, niż obrać sobie nowe ciało?



Trzy spośród 5 grobowców Taszi Lamów.

I w ten sposób doszli oni do przekonania, że ta sama osoba wciela się w różne ciała.

KRAJ TYSIĘCY ŚWIĘTYCH

To samo dotyczy inkarnacyj świętych buddyjskich w Tybecie. Wszyscy zostali oni wychowani od najwcześniejszego dzieciństwa w tem przeświadczeniu, że są wcieleniami bardzo świętych osób. Zawsze byli traktowani jako święci, i nie dawano im nigdy robić rzeczy nieświętych. Nigdy im na myśl nie przychodzi, że mogą być czemś innem. I tak będąc uważani przez całe życie za świętych, osiągają oni faktycznie bardzo wysoki stopień świętości.

W ten sposób Tybetańczycy w ciągu wieków stopniowo ukształtowali Dalaj Lamę i inne wcielenia ducha świętego zgodnie z życzeniami własnego serca, mniej więcej tak samo, jak my Anglicy ukształtowaliśmy naszych monarchów według naszych życzeń. Inkarnacja — czy to ma być Dalaj Lama, czy Tashi Lama z Shigatze, lub jakikolwiek inny z setek mniejszych inkarnacyj w całym Tybecie — czuje w sobie stały mus, by iść w ślady świętych, i każda próba odchylenia od tej drogi napotyka w nim samym na opór.

Służy to nadzwyczaj ważnemu celowi. My, oświeceni ludzie Zachodu, możemy z uśmiechem pogardliwego lekceważenia patrzeć na te oszustwa, które muszą się dziać przy wyborze dziecka, mającego objąć miejsce zmarłego Dalaj Lamy lub jakiegokolwiek innego mniejszego wcielenia. My uważamy to za czysty absurd, aby przypuszczać, że natrafiono na ślad właściwego dziecka, nawet jeżeli dopuścić myśl, że duch zmarłego świętego naprawdę wstępuje w ciało niemowlęcia w chwili śmierci świętego.

Ale w rzeczywistości wynika z tego bardzo dużo dobrego. Nowe wcielenie, wychowane w atmosferze świętości, przez całe życie wchłaniało w siebie tę świętość. Świętość jest dla niego nawet bardziej naturalna, niż królewskość dla królów. A korzyść dla ludności jest ta, że ma przed sobą żywe wcielenie z krwi i kości wszystkich swoich ideałów duchowych.

Z chwilą, gdy wybór będzie dokonany, dziecko to będzie już stale traktowane jako bóstwo. Będzie ono postawione pod opiekę Regenta, dopóki nie stanie się pełnoletnim. I w tem tkwi cała trudność. Stanowisko Regenta jest wielką potęgą, mającą wielki wpływ na bieg wypadków, gdyż w czasie niepełnoletności Dalaj Lamy, Regent jest właściwym władcą Tybetu. Obecnie toczy się walka o to stanowisko. Dowiadujemy się, że pewien mąż o wielkich wpływach za czasów zmarłego Dalaj Lamy opuścił Lhassę. Możemy przeto przypuszczać, że inny chwilowo zajął jego miejsce. W ten sposób walka będzie kontynuowana między różnymi rywalami w ciągu roku lub dwóch.

WŁADZA KLASZTORÓW

Nawet gdyby komuś udało się usadowić, jako Regentowi, będzie on musiał wykazać ogromną zręczność, jeżeli ma się utrzymać na tem stanowisku. Istnieją bowiem w Lhassie potężne instytucje, z któremi nawet tak silny Dalaj Lama, jak ostatni, musi się liczyć. Są to trzy wielkie klasztory koło Lhassy, z których każdy ma przeszło pięć tysięcy mnichów. Przełożeni tych klasztorów wywierają wielki wpływ na sprawy Tybetu.

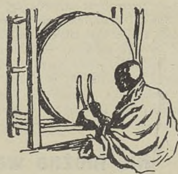
Wpływy te w przyszłości prawdopodobnie nie będą tak wielkie, jak w przeszłości. Jest to jedna z możliwości wypływających z obecnej sytuacji. Ostatni Dalaj Lama pozostawał do końca swoich dni najwierniejszym zachowawcą religji tybetańskiej, miał on jednak również zainteresowanie dla kultury Zachodu. Wysyłał młodzieńców z Tybetu do Anglji, by się kształcili w angielskich szkołach, innych wysyłał na naukę sztuki pomiarowej, innych znów na naukę górnictwa. Młodych zaś oficerów wysyłał do Indyj, aby się uczyli sztuki wojennej. Zapraszał również angielskich specjalistów do Lhassy.

W wyniku tego przenikania zachodniej wiedzy naukowej i zachodniego doświadczenia wielu z młodej generacji Tybetu zaczyna powątpiewać o nieomylności autorytetu tych brudnych starych opatów, przełożonych wielkich klasztorów.

Następnie jest jeszcze wielkie zagadnienie Chin. Jaką rolę — jeżeli wogóle — będą one miały do odegrania w tej sprawie?

W ciągu wieków Chińczycy byli suwerennymi panami Tybetu. Im więcej Tybetańczycy nasiąkali religją, tem mniej stawali się zdolni do polityki i do wojska i tembardziej wzmacniała się u nich tendencja do uciekania się pod opiekę jakiejś większej potęgi.

W ten sposób Chińczycy objęli w stosunku do nich stanowisko suwerena czy protektora, a będąc bardzo zdolnym i doświadczonym narodem, zdobyli stanowisko dominujące. Utrzymywali oni w Lhassie Ambana, czyli Rezydenta, jako przedstawiciela Cesarza, i chociaż mało się wtrącali do spraw religijnych Tybetańczyków lub do ich spraw wewnętrznych, to wywierali wpływ decydujący w sprawach zewnętrznych.



Lama z bębnem w świątyni.

WPŁYWY CHIŃSKIE

Chińczycy jednak nigdy nie byli lubiani. Tybetańczycy zawsze żywili względem nich obawę. Chińczycy bowiem cieszą się wielkim prestiżem w Azji. Są oni starą rasą i w ciągu tysięcy lat wykazali, że są wielkim narodem. Dlatego ma się dla nich olbrzymi respekt. Ale Chińczycy są aroganccy wobec tych, których uważają za niższych od siebie. Uważali oni Tybetańczyków za niższych i nie szczędzili im swojej arogancji. W rezultacie, w rok mniej więcej po opuszczeniu przezemnie Lhassy, Tybetańczycy zbuntowali się przeciwko Chińczykom i zabili Rezydenta i wszystkich jego urzędników.

Ale na tem sprawa się nie zakończyła, gdyż kilka lat później, dokonywując jednego z tych kolosalnych wyczynów z których tak słyną, Chińczycy przeprawili się z armją przez góry do Lhassy, nawet sam Dalaj Lama musiał się ratować ucieczką przed nimi, aby ujść z życiem.

Był to jednak wysiłek spazmatyczny. Wewnętrzne niesnaski osłabiły Chińczyków. Nie mogli oni utrzymać sił wojskowych w Tybecie. Tybetańczycy znów powstali przeciwko nim i wymordowali lub wypędzili z kraju wszystkich Chińczyków, którzy tam zostali. W ten sposób w kraju nie pozostało ani jednego Chińczyka.

Byłoby błędem jednak przypuszczać, że zanikły wpływy chińskie. Chińczycy mają reputację w Azji jako tacy, którzy zawsze wracają. Jeden lub dwa wieki to dla nich nie o wiele więcej, niż rok albo dwa u nas. Obecnie niema ich w Lhassie, ale jutro mogą tam znów być. To jest przekonanie, które tkwi głęboko w umyśle azjatyckim. Oprócz tego, drugi wielki Lama w Tybecie Tashi Lama mieszkał w Chinach w ciągu ostatnich kilku lat i może powrócić do Tybetu przy poparciu Chińczyków. Bądź co bądź, między klasztorami w Tybecie, a klasztorami w Chinach odbywa się stała wędrówka Lamów. Chiny wywierają jeszcze wielkie wpływy na sprawy Tybetańczyków.



Mnich tybetański.

„Times Magazine" *New York*

Dwa surowce, o które walczy cały świat

Wielki bóg: nafta zagraża pokojowi

W ciągu ostatnich kilku tygodni w pismach finansowych ukazały się skromne ogłoszenia, że Towarzystwo Naftowe Iraku rozpocznie wkrótce swoją działalność.

Za temi kilku wierszami kryje się wielki wysiłek największego na świecie państwa, mający na celu zabezpieczenie sobie stałej i obfitej dostawy nafty.

Nafty — wielkiego sługi ludzkiego postępu — i ludzkiego zniszczenia.

Niema prawie nowoczesnego okrętu, któryby nie był poruszany naftą. Nafta pędzi tanki i aeroplany i wiele innych maszyn wojennych.

STAŁE POSZUKIWANIA

Każdy znawca nafty na świecie zgodzi się z faktem, że, mówiąc językiem ekonomicznym, na świecie istnieje wielka nadprodukcja nafty.

Ale nafta ma nietylko znaczenie gospodarcze. Ma ona także wielkie znaczenie w czasie wojny. I dlatego, nie bacząc na nadprodukcję i wielkie niespożyte zapasy, ziemia stale świdrowana jest w poszukiwaniach nowych źródeł nafty.

Gdyby to dotyczyło artykułów o mniejszej doniosłości na wojnie, postępowanie takie określonoby jako inwestycję nierozumną i niebezpieczną.

Tam, gdzie jest mowa o nafcie, tam niema złej inwestycji — nawet wtedy, gdy miljony wydane zostały bezużytecznie na nieudałe prace poszukiwawcze.

Troska Wielkiej Brytanji o jej zapasy naftowe uzewnętrzniła się w sposób jaskrawy dwa lata temu w czasie konfliktu Angielsko-Perskiego o perskie źródła naftowe.

Do nowszych objawów tej obawy o naftę należy wniesiony niedawno do parlamentu brytyjskiego projekt ustawy o upaństwowieniu zgóry wszelkiej nafty, jaka będzie wykryta na wyspach brytyjskich.

Tymczasem ogromnie kosztowne wydobycie nafty z węgla w Zakładach Imperial Chemical Industries w Billingham posuwa się w szybkiem tempie.

OBFITOŚĆ KAPITAŁU

W najbliższym miesiącu Towarzystwo Naftowe w Iraku prawdopodobnie rozpocznie swoją produkcję, będąc zaopatrzone w obfite kapitały.

Być może, że niektórzy finansiści, zauważywszy niepozorne wiadomości w pismach finansowych, pomyśleli, że znaleźli dobre pole dla inwestycji.

Prędko jednak się cofnęli. Wykryli bowiem, że akcje towarzystwa nie są sprzedawane na giełdzie — nie dlatego, że przedsiębiorstwo jest małe, ale dlatego, że jest tak wielkie.

Akcje tego towarzystwa znajdują się w mocnych i potężnych rękach. Giełda jest niepotrzebna. Dzięki wielkiemu strategicznemu znaczeniu przedsiębiorstwa, ma ono do dyspozycji wielkie kapitały.

W marcu 1931 roku otrzymało ono na mocy umowy z rządem Iraku wyłączne prawo wydobywania nafty na wschód od rzeki Tygrysu na okres 75 lat.

Teren ten to przedłużenie perskich terenów naftowych, i prawdopodobnie jeden z najbogatszych terenów naftowych na świecie.

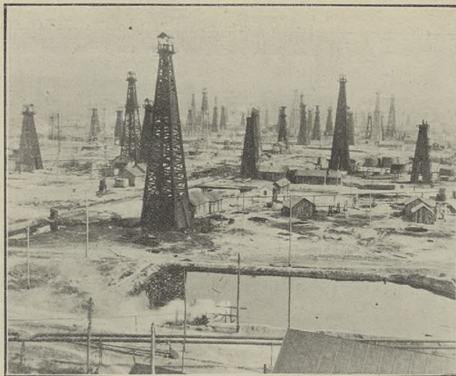
TERYTORJUM BRYTYJSKIE

Towarzystwo podjęło się wybudować w roku 1935 rurociąg na zachód, do morza Śródziemnego o minimalnej pojemności rocznej 3 miljonów tonn.

Linja rozgałęzia się, zanim dochodzi do brzegu morskiego. Odgałęzienie południowe ciągnie się głównie przez terytorjum brytyjskie i dochodzi do morza w Hajfie w Palestynie. Ma ono 618 mil długości.

Trudności w drodze były olbrzymie. Linja przecina pustynie i obszary niezamieszkałe. Są wielkie różnice w poziomie różnych punktów wzdłuż linji, najwyższy punkt położony jest 3000 stóp powyżej, a punkt najniższy 500 stóp niżej poziomu morza.

Tem bardziej uderzające jest, że linja do Hajfy już jest gotowa. Końcowa praca przy zakładaniu pomp już jest w toku. W najbliższym miesiącu pierwsza nafta z Iraku prawdopodobnie popłynie rurami do Hajfy. Wyjątkowa szybkość, z jaką te ciężkie żelazne rury, ważące przeszło 100.000 tonn, zostały założone, nie bacząc na obecny zniechęcający stan rynku naftowego, świadczy, że za tym projektem kryją się interesy o wiele ważniejsze, niż czysto handlowe.



Szyby naftowe w stanie Oklahoma w Am. Północnej.

W istocie jest to jedna z najważniejszych prac strategicznych w dziejach świata.

Angielsko-Perskie, Królewsko-Holenderskie (Shell), Standard Oil i Francuskie Towarzystwo Naftowe są wszystkie zainteresowane w Towarzystwie Naftowem Iraku. Ale wpływ brytyjski jest przeważający.

Dopóki niema wojny, dostawa nafty do brytyjskich posiadłości śródziemnomorskich jest w dostatecznym stopniu zapewniona, w równej mierze zapewniona jest komunikacja morska z Indjami. Ale wojna postawiłaby wszystko pod znakiem zapytania.

W braku rurociągu, nafta perska i Iraku musiałaby być transportowana przez kanał Suezki. A jest rzeczą bardzo wątpliwą, czy kanał byłby otwarty w czasie wojny.

Dzięki rurociągom flota śródziemnomorska ma zapewnioną dostawę paliwa. Bowiem z terenów naftowych Iraku, kiedy Brytyjskie Towarzystwo Rozwoju Naftowego osiągnie pełną wydajność, przepływać będzie nie mniej, niż 8.000.000 tonn nafty rocznie.

KOSZTY ZMNIEJSZONO

W najgorszym wypadku nafta będzie mogła być przewożona do Anglji przez cieśninę Gibraltarską, która, śmiało przewidzieć można, będzie wolna.

Tymczasem jednak mamy pokój na świecie. Rynek naftowy zaopatrzony jest nadmiernie. Kiedy nafta z Iraku popłynie na rynek, kryzys się pogłębi.

Na początku będą wypompowane przez te rury około 2.000.000 tonn. Ze względu na oszczędności w kosztach transportu nafta z Iraku będzie mogła być oferowana na rynkach europejskich po cenie nie mniej, niż o dziesięć szylingów taniej od nafty perskiej, rosyjskiej i amerykańskiej.

Rozpocznie się nowa wojna cen. Ci, co dotychczas zaopatrywali rynek europejski w naftę, zdają sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

Niedawno dyskutowana była przez nich kwestja, w jaki sposób możnaby było tego uniknąć. Nie znaleziono żadnego rozwiązania.

Rurociągi naftowe bronią Wielkiej Brytanji, ale zagrażają one rynkowi naftowemu. Kryzys na tym rynku stanie się coraz ostrzejszy. Napięcie będzie wzrastało.

Z naftą jest to samo, co z uzbrojeniem. Uzbrajamy się tak długo, dopóki znajdziemy się w stanie wojny.

„The Clarion", Londyn.

CZY WOJNA O BAWEŁNĘ?

Poseł do parlamentu angielskiego, który 7 listopada 1933 wpadł na salę obrad Izby gmin, powiewając koszulą japońską, kupioną za połowę ceny koszuli angielskiej tej samej jakości, przypomina owych rycerzy, którzy w dawnych czasach pędzili w panicznym galopie przez ulice, krzycząc, że wróg jest pod murami grodu.

W roku 1815 setki okrętów wyrzucały na mole portów północno-amerykańskich tysiące kilometrów tkanin pochodzących z Anglji, które potem sprzedawano na kredyt i po cenach wprost śmiesznych. Inicjatywa ta miała na celu zrujnowanie tkalni amerykańskich, lecz mimo pozornych sukcesów, skończyła się ona smutno dla obu stron. Na tkaniny angielskie nałożono wysokie cła; Londyn zareagował podwyższeniem stawek celnych na bawełnę, pochodzącą ze stanów południowo-amerykańskich; plantatorowie odbijali sobie swoje straty na niewolnikach, pogarszając ich los i tak już nieludzko ciężki. Trwało to tak długo, aż dobrzy ludzie się tem przejęli i wybuchła wojna między północą a południem. Było to faktycznie niegodne narodów chrześcijańskich, by niewolnictwo było uznawane za coś zupełnie naturalnego.

Wojna była długa i niszczycielska. Eksport bawełny ustał zupełnie spowodu niemożliwości przełamania blokady morskiej, i fabryki angielskie stanęły. Nastąpiły rozruchy, rozlew krwi, nędza. W 1864 roku angielski przemysł włókienniczy znajdował się nad brzegiem przepaści spowodu braku surowców, podczas gdy plantatorowie amerykańscy gromadzili olbrzymie zapasy bawełny i, nie mając komu jej sprzedać, puchli z głodu.

POPRZEZ WIEKI.

Mógłby ktoś pomyśleć, że na tym konflikcie zarobili przynajmniej niewolnicy ostatecznie wyzwoleni. Bynajmniej. Dziś położenie tych *maszyn roboczych* jest o wiele gorsze niż było wiek temu. Około roku 1780 dobry robotnik murzyński kosztował 200 dolarów, w roku 1815 kosztował on 300; w 1840 prawie 1000, a 2000 w 1860. Niektórzy właściciele plantacyj używali około 300 niewolników, inwestując pokaźny kapitał, na który trzeba było uważać, by nie zmarnował się i który trzeba było dobrze odżywiać, by przynosił dochody. Dziś murzyn nic nie kosztuje: jeżeli umrze jest natychmiast drugi, który zajmie jego miejsce, a system pracy bynajmniej nie jest bardziej ludzki, niż był w owych czasach. Tylko murzyni z Sudanu, którzy nie dbają o pieniądze i mają najskromniejsze potrzeby mogliby się cieszyć z ustawodawstwa kładącego kres niewolnictwu: tym, którzy rekrutują robotników, mają oni prawo powiedzieć — n i e!, ale niestety, jest to prawo tylko teoretyczne.

Nasuwa się jednak myśl, że rezultaty ówczesnego dumpingu powinnyby obudzić pewne refleksje u tych, którzy dziś stosują te same metody. Ówczesny dumping przyniósł tylko ciężkie kłopoty. Same fabryki północno-amerykańskie podjęły, po chwilowej porażce, produkcję i pomnożyły się w ciągu jednego wieku o 4000%, podczas gdy ludność wzrosła tylko o 750%. Ich zużycie surowca podskoczyło z 750.000 bel bawełny na 4 miljony. (Jedna bela równa się 226,8 kilograma). Ludzie jednak nie potrafią korzystać z nauk historji.

Z drugiej strony zdaje się, że w bawełnie tkwią jakieś mściwe duchy. Ze wszystkich materjałów służących do przyodziewku człowieka, żaden nie spowodował tylu nieszczęść, ile zapisać można na rachunek bawełny.

Kilka wieków przed Chrystusem Babilonja, nie wiedząc wprawdzie, gdzie rosły krzewy bawełniane, panowała nad handlem bawełną z Zachodem, ku wielkiemu niezadowoleniu Niniwy, która sobie wbiła w głowę, że musi Babilon usunąć w kąt. Wynikła z tego długa wojna, podczas której oba wielkie miasta wzajemnie się zniszczyły. Piętnaście wieków później o to samo wyniszczały się wzajemnie rzeczypospolite wenecka i genueńska.

Może dlatego, obok przyczyn przypadkowych, nieuświadomiony instynkt kazał europejczykom mieć się na baczności przed czarem bawełny. Tkaniny bawełniane uważano za dzieło djabła. Jakże inaczej mogły one być tak miękkie, tak rozkoszne w dotyku i dla oka? Niejaki Jean de Mandeville opowiadał niestworzone rzeczy na temat bawełny.

— Bawełna — powiadał — jest małem zwierzątkiem, zamieszkującem roślinę o tej samej nazwie, żywi się roślinami, przechadza się nocą po łąkach, usmażona ma nadzwyczajnie miły smak, ale mimo to jest wcieleniem djabła.

Do początku XVIII wieku 90% ludności europejskiej pozostało wiernych wełnie i tkaninom lnianym. Nad bawełną ciążyło pewnego rodzaju wyklęcie. Nakładano ciężkie kary pieniężne na tych, którzy nosili, sprzedawali, lub tkali bawełnę.

Nie pomogło nic. Stopięćdziesiąt lat potem bawełna odziewała miljard ludzi, a przytem wchodziła już w skład rozmaitych produktów przemysłowych. Wynaleziono nawet sposób zamieniania jej na materjał wybuchowy. Bawełna jest nierozpuszczalna w alkoholu, ani w eterze i dlatego jest ogromnie cenna.

Jednem słowem, Europa nie miałaby powodu do narzekania na ten „wyrób djabelski", pomijając oczywiście jego użycie jako środka wybuchowego. Bawełna przyniosła pracę i bogactwo, niektóre okolice jak Lancashire w Anglji, zawdzięczają jej ogromne wprost bogactwa. Ale dziś...

BRAK PLANU ŚWIATOWEGO.

Dziś obok dumpingu japońskiego, który jest nieszczęściem sztucznie podtrzymywanem, istnieją inne powody zaniepokojenia, zależne od przyczyn istotnych i wewnętrznych.

Po przesileniu, wywołanem przez wojnę przeciwko niewolnictwu, Londyn zastanowił się nad koniecznością posiadania własnych plantacyj bawełny, któreby uniezależniły przemysł

(Dokończenie na str. 6)

Louis-Charles Royer

CAMPING

Aż do ostatniego lata pary małżeńskie Morandeau i Chenevoix mogły naprawdę być wzorem szczęśliwych małżeństw. Gizela Morandeau była kochanką Piotra Chenevoix, zaś Paweł Morandeau był kochankiem Gaby Chenevoix.

Kto z nich pierwszy naruszył wierność małżeńską — niewiadomo — i nie jest to wcale nawet ważne. Najważniejsze było, że obydwie pary były bardzo szczęśliwe.

Co tydzień Gizela i Piotr z jednej strony, Paweł i Gaby z drugiej, spędzali ze sobą dwie lub trzy godziny całkowicie wypełnione miłością; nudne sprawy życia codziennego, podatki, komorne etc. były odkładane do czasu, kiedy Gizela i Paweł, Piotr i Gaby spotykali się legalnie we czworo.

Zapomniałem dodać, że niezależnie od spotkań miłosnych, obydwie pary bywały u siebie często, jak to zresztą młodym parom przystoi. Panowie byli ze sobą w przyjaźni; panie były serdecznemi przyjaciółkami, a wszyscy o wszystkiem „wiedzieli". Nie mówiło się o tem i tyle.

*

A jednak mimo wszystko, pewnego wiosennego wieczora zaczęto o „tem" mówić.

Paryż dzięki łasce Opatrzności zaznawał w owym czasie gorąca i słońca iście południowego. Obiad w małej gospodzie nad Sekwaną był obfity i wesoły. Wyciągnięta na płóciennym leżaku, z nogami na wysokości głowy, odkrywając partje ciała powyżej kolan, bardzo różowe i nie stanowiące już dla nikogo z obecnych tajemnicy — Gizela Morandeau patrzyła na okoliczne wzgórza, które zmieniały barwę z szmaragdowej na ciemno niebieską.

— Dokąd jedziecie latem? — zapytała nagle.

— Jeszcześmy nie zdecydowali, — odparła Gaby, wyciągając leniwie długie, pokryte niebieskiemi żyłkami ramiona.

— Mybyśmy się wybrali najchętniej na Riwjerę Tulońską, do Cavalaire, czy St. Maxime, zaczął Piotr.

— Patrzcie! — odrzekła roztargniona Gizela, — mój mąż ma takie same zamiary.

Zapanowało kłopotliwe milczenie; aby je przerwać, Chenevoix zamówił szampana. Potem przyniesiono likiery. Gaby, z wpół-przymkniętemi oczyma, sączyła likier kropla po kropli; Gizela wychylała kieliszek jednym tchem, jak dorożkarz. Po trzecim kieliszku, trochę wstawiona, nakazała wszystkim spokój.

— Słuchajcie, — powiedziała stanowczym tonem, — nie będziemy się przecież ciągle na siebie patrzeć, jak malowane lale. Poco te ceregiele? Przecież ja wiem, że Paweł i Gaby... jak zresztą Piotr i ja... że się wzajemnie zdradzamy, no!

— Nikogo nie zdradzamy, — rzekł sentencjonalnie Piotr, — bo wszyscy o wszystkiem wiemy.

Gaby, która teraz zupełnie zamknęła oczy, zdawała się nie słuchać; ale przyśpieszony oddech wznosił jej lekką bluzeczkę.

— Czy śpisz? — zapytała drwiącym tonem Gizela. — Dobrze, więc omówimy tę sprawę bez ciebie. Wszyscy mamy szaloną ochotę nie rozłączać się tak, jak w zeszłym roku. Dlaczegoby nie wynająć wspólnej willi we czworo?

— Możeby w St.-Maxime? — rzuciła Gaby.

— Patrzcie, patrzcie... Pani się obudziła. Dobrze, a więc w St.-Maxime. To ulubiony zakątek „naszego" Pawełka.

I tak oto, latem, państwo Chenevoix i państwo Morandeau wysiedli pewnego dnia na stacji w Saint-Raphael, skąd mieli udać się autokarem do St.-Maxime.

*

Mówię: mieli się udać, ponieważ los zasądził inaczej. Losem, w tym wypadku okazała się pęknięta opona. Podczas gdy szofer pocił się przy zakładaniu zapasowego koła, młode pary zaczęły zachwycać się namiotami, które jakiś pomysłowy hotelarz ustawił w lasku nad samym brzegiem morza.

Dowiedzieli się, że można tu zakosztować przyjemności campingowania, nie wożąc aż z Paryża kłopotliwych bagażów.

Hotelarz zajmował się jedzeniem i wstawiał składane łóżka do namiotów. Służby nie było. Trzeba było samemu sprzątać i chodzić po wodę do mycia; kąpać można się było w morzu.

— Cudownie, — rzekł Paweł.

— Zawsze marzyłam o czemś podobnem! — wykrzyknęła Gaby, ściskając ukradkiem rękę kochanka.

Piotr oglądał tymczasem zakątek.



— A gdybyśmy tak tutaj zostali?

— Zostańmy zatem, postanowiła Gizela; i, każąc wyładować walizki, młoda kobieta, jedyna w całej czwórce, posiadająca pewien zmysł praktyczny, zgromadziła wszystkich wkoło siebie.

— Uważajcie. Mamy wynająć dwa namioty. Dobrze. Ale, jeżeli ciągle będziemy razem, Piotr ze mną, a Gaby z Pawłem, zaczną się plotki. Nikt nas tu nie zna. Najlepiej więc będzie, żebym na miesiąc została panią Chenevoix, a Gaby panią Morandeau.

I, nie czekając odpowiedzi, Gizela udała się na poszukiwanie hotelarza.

*

Ach, jak piękne były miodowe tygodnie, które zaczęły się dla dwóch nielegalnych małżeństw pod pasiastym dachem namiotu, wśród krzepiącego zapachu jodeł!

Byli tak doskonale szczęśliwi, że, nie przyznając się do tego przed sobą, wszyscy czworo myśleli, jako o najlepszem wyjściu z sytuacji, o rozwodzie — zaraz po powrocie do Paryża i o ponownem małżeństwie. Nawet bielizna będzie już miała właściwe znaki.

Paweł Morandeau w chwilach wolnych od zajęć w liceum, pisywał poezje; Gaby, wysoka, szczupła, jasnowłosa, o oczach smutnych i łagodnych, była mu muzą.

Gizela, mała, okrągła, o czarnych kędzierzawych włosach, bawiła i wyjątkowo podniecała Piotra Chenevoix, który grywał na wyścigach, zanim założył elegancki sklep przyborów automobilowych.

Któregoś popołudnia, Paweł i Gaby siedzieli na skałach, oddając się marzeniom, podczas gdy Gizela i Piotr grali w piłkę na plaży i gonili się jak dzieci.

Okoliczni mieszkańcy i sam hotelarz nie posiadali się ze wzruszenia:

— Jakież to urocze małżeństwa! — powtarzali wkółko. A pewien starszy, wykształcony pan twierdził nawet, że młodzi zadają kłam maksymie la Rochefoucauld'a, który, jak wiadomo, uważał, że o ile dobre małżeństwa zdarzają się czasem — doskonałe nie istnieją.

*

Pierwszy tydzień campingu był cudowny; drugi, trzeba przyznać, był znacznie mniej przyjemny.

Piotr Chenevoix ciągle jeszcze oceniał należycie zgrabne ciało, giętkość i oddanie swej kochanki; ale, poza sukniami i drożyzną nie było o czem z Gizelą mówić; chociaż Piotr nie był nauczycielem, jak Paweł, miał jednak pewne zainteresowania intelektualne.

Sytuacja była jeszcze gorsza, jeżeli chodzi o drugą parę. Romantyczna, uległa i przemiła w godzinach odpoczynku, Gaby miała wady, równoważące zalety. Była nieporządna i leniwa. Namiot jej podobny był do nory, w którejby nawet maciora nie zdołała odnaleźć swoich małych.

I tak, podczas gdy w namiocie Piotra i Gizeli zapadała często cisza, znamionująca nudę, spod namiotu Pawła i Gaby rozlegały się często donośne głosy, które nie były już, jak na początku, wyrazem wzajemnej czułości.

Trzeci tydzień był zupełną klęską. Krótko mówiąc — nie doczekawszy końca miesiąca, zgóry opłaconego, obydwie pary — szczególnie zaś obaj mężowie — postanowili wrócić do Paryża.

Odnalazłszy się w ognisku domowem, obydwie pary wróciły do swych dawnych zwyczajów; do wszystkich. Bo najśmieszniejsze w tem wszystkiem było to, że po kilku tygodniach wzajemnych dąsów, Paweł Morandeau zaczął prowadzić z Gaby Chenevoix rozmowy o literaturze i miłości, podczas gdy Piotr powrócił z rozkoszą do małej, czarnej i wysportowanej Gizeli.

„Paris Magazine", Paryż.

CZY WOJNA O BAWEŁNĘ?

(Dokończenie ze str. 5)

angielski od niespodzianek ze strony zagranicy. W ten sposób Anglja podjęła pod koniec ubiegłego stulecia okupację Sudanu, narażając się nawet na konflikt zbrojny z Francją.

„British Cotton Growing Association" (Brytyjskie Towarzystwo hodowli bawełny) założone wkrótce potem, z kapitałem zakł. 500.000 Ł., postarało się o to, by zaczęto uprawiać bawełnę we wszystkich kolonjach angielskich, gdzie tylko klimat na to pozwalał. Żadnych ograniczeń imprezie tej nie stawiano. Niepowodzenia podniecały do dalszych wysiłków i sukcesów. Jeżeli nie wystarczało ziemi uprawnej, zamieniano pustynie na żyzne pola. Tak, naprzykład, postąpiono w Indjach, w okolicy Sind. Chodziło tu o nawodnienie dwóch do trzech miljonów hektarów ziemi, spalonej odwieczną posuchą. W ciągu dziesięciu lat cud został urzeczywistniony, a w styczniu 1932 roku lord Willingdon uroczyście inaugurował ten ósmy cud świata: tamę o sześćdziesięciu sześciu łukach, z których każdy jest zaopatrzony w dwie śluzy, ważące każda po sto tonn. Tama ta odprowadza wody Indu i rozdziela je między siedem kanałów, wśród których kanał Rori jest półtora razy szerszy, niż kanał Suezki. Plantacje, poprzecinane kanałami o łącznej długości 58.000 kilometrów, są obsługiwane przez specjalnie zbudowane koleje, a port Karski odpowiednio rozszerzono i rozbudowano.

Rozumując tak samo jak Londyn, to znaczy, chcąc uniezależnić swój przemysł od zagranicznych surowców, Sowiety postarały się zaprowadzić i na swoich ziemiach uprawę bawełny. Odpowiednie tereny znalazły się nad rzeką Amurdarja, jest to przestrzeń około dwustu tysięcy kilometrów kwadratowych. Nie zwlekając długo, przystąpiono do ich eksploatacji. Niezadowolenie i pomruki zacofanych szczepów zlikwidowano przy akompanjamencie karabinów maszynowych, a dziś w tej strefie pracuje 7.000 robotników pod przewodnictwem 2000 specjalistów zagranicznych. Z zagranicy sprowadzono również potrzebne maszyny; tak więc, systemowi, który potępia kapitalizm, wiekowe doświadczenie gospodarki kapitalistycznej, hojną składa ofiarę. Przewiduje się wzorową eksploatację, gdzie wszystko będzie zracjonalizowane: nawet groźny „boll-weevel" owad, pożerający bawełnę będzie wyeliminowany. Dla jego apetytu zasiano dwanaście hektarów „Cicer orientinum", pewnego rodzaju groszkiem, na który owad jest szczególnie łasy, i który będzie mógł pożerać w spokoju, nie „sabotując" wykonania planu pięcioletniego.

Równocześnie gospodarka amerykańska kierowana przez Roosevelta zastanawia się nad redukcją uprawy bawełny i zachęca wyraźnie w tym kierunku plantatorów, z małem jednak powodzeniem. W każdym razie nie zdoła się przez to zneutralizować wydajności Sindu i terenów nad Amurdarją.

Z tem wszystkiem prawie miljard ludzi chodzi nago, półnago albo w łachmanach, zaś trzy kontynenty Europa, Azja i Ameryka toczą ze sobą nieubłaganą walkę o prawo odziania ich. Każdy z nich dąży do supremacji, zamiast zadowolić się podziałem rynków zbytu i rentowną produkcją. Dotychczas tylko Włochy podjęły na posiedzeniu rady ministrów z 4 marca 1934 inicjatywę skoordynowania przemysłu tekstylnego i jego eksportu w jednym instytucie. Coś podobnego przewiduje się i w Anglji, lecz na całym świecie panuje chaos.

Logicznie rzecz biorąc, jeżeli walka tak dalej będzie się rozwijała, powtórzy się historja Babilonu i Niniwy. Potem, jak się wydało miljardy, by móc łatwiej odziać synów ziemi, wytłucze się kilka miljonów z nich, by zadecydować komu przysługuje prawo odziać większą część z nich. Miejmy nadzieję, że to proroctwo pozostanie tylko proroctwem.

„La Stampa", Turyn.

Zrusyfikowany polak o Mickiewiczu

Zdarza się, że dziecinne pojęcie o jakiejś sprawie okazuje się jakgdyby przeczuciem albo nawet przewidywaniem pojęć przyszłych, opartych na znacznie gruntowniejszem poznaniu nowej sprawy.

Pewne wrażenia, które sobie teraz dokładnie przypominam, odnoszą się do najwcześniejszej epoki mego życia, do tych czasów, kiedy chodziłem jeszcze do freblówki, gdzie zrusyfikowałem się już raz na zawsze.

Rankiem, po herbacie, matka moja prowadziła mnie do swego pokoju. Wisiał tam nad łóżkiem obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej, oprawiony w złotą ramkę. Na podłodze leżał maleńki dywanik. Ukląkłszy, odmawiałem po polsku „Ojcze Nasz", „Zdrowaś Marjo" i „Wierzę". Potem opowiadała mi matka o Polsce, czasem czytała mi wiersze. Był to początek „Pana Tadeusza". Dopiero znacznie później dowiedziałem się, co to za utwór i zrozumiałem wówczas, że matka nigdy nie czytała więcej, niż siedemdziesiąt dwa wiersze pierwszej księgi.

Doszedłszy do miejsca, kiedy bohater (którego imienia jeszcze nie wymieniano) wysiada z „dwukonnej bryczki", przebiega wszystkie pokoje, przygląda się dobrze znanym meblom, zegarowi z kurantem i z dziecinną radością

....pociąga za sznurek

By stary Dąbrowskiego usłyszeć mazurek"

matka zaczynała płakać i pozwalała mi wyjść z pokoju.

Umiałem wiersze te na pamięć, nie rozumiejąc ich prawie wcale i nie starając się ich zrozumieć. Wiedziałem, że napisał je Mickiewicz, taki sam poeta, jakim był Puszkin, Lermontow, Majkow, Fet. Z tą różnicą, że Puszkina, Lermontowa, Majkowa i Feta można i trzeba było rozumieć, a z Mickiewiczem — była całkiem inna sprawa...

To nietylko poezja, to coś, nierozerwalnemi więzami złączone z modlitwą i Polską, to znaczy — z cerkwią, z tym kościołem na „Miljutinskom pjereulkie" dokąd jeździłem w niedziele z mamą. Nigdy nie widziałem Mickiewicza, ani Polski. Nie można ich zresztą widzieć — tak jak Boga, — znajdują się jednak tam, gdzie Bóg: za niską kratą, obitą czerwonym aksamitem; w brzmieniu organów, w dymie kadzideł i w złotym blasku ukośnych promieni słońca, padających na ołtarz. Ołtarz był dla mnie przedmurzem a nawet wrotami do „tamtego świata", w którym żyłem — kiedy mnie jeszcze nie było, i w którym znajdę się — kiedy mnie już nie będzie.

Bóg — Polska — Mickiewicz: Niewidzialne i Niepojęte, lecz bliskie. I — niepodzielne.

Tak oto wyobrażałem to sobie w mych dziecinnych, chaotycznych pojęciach...

W szerokich kołach społeczeństwa rosyjskiego rozpowszechnione są nieprawdziwe pojęcia o Mickiewiczu. Przedewszystkiem Mickiewicz nigdy nie był wrogiem narodu rosyjskiego. Podobna wrogość nie mogłaby harmonizować z całym gmachem jego idei — których podstawą było marzenie o powszechnem braterstwie ludów. Żywił nienawiść nie do Rosji, lecz do jej systemu politycznego i do tronu carskiego; carów uważał za gnębicieli narodu i rosyjskiego, i polskiego. Ile miał w tem słuszności — to znowu inna sprawa.

Nie należy jednak zapominać o tem, że zdanie to popierało wielu jego „przyjaciół — Moskali" — dekabrystów, którzy w pierwszym rzędzie byli gorącymi patrjotami. Za swe braterskie uczucia dla narodu rosyjskiego, Mickiewicz narażał się nawet na napaści ze strony tych polaków, którym brak było jego wzniosłych światopoglądów. Puszkin z właściwą sobie przenikliwością domyślił się w Mickiewiczu tych właściwości. Mickiewicz nawet wolał rosjan od innych narodów; słowian zaś kochał nie dlatego, że przypisywał im wyższość plemienną, ale że za jego czasów, cała Słowiańszczyzna Zachodnia jęczała pod tyranją innych narodów. Fałszem jest również, jakoby Mickiewicz uważał polaków za naród, stojący wyżej od innych narodów. Kochał Polskę tak ogromnie — ponieważ była jego ojczyzną, mesjanizm zaś jego opierał się nie na szowiniźmie, lecz na bezspornym fakcie, że za jego czasów Polska była najnieszczęśliwszym ze wszystkich cierpiących krajów.

Władysław Chodasiewicz
„Wozrożdenje" Paryż.

Na wypadek wojny — żywność z drzewa

Oczy uczonych skierowane są na małą fabrykę, która niedawno powstała w Mannheim-Rheinau w Niemczech. Fabryka ta powstała dzięki poparciu rządu narodowo-socjalistycznego, a jed nym z jej twórców jest angielski profesor z Lancashire.

W tej fabryce robi się rzeczy uważane dotychczas za przekraczające ludzkie możliwości. Wagony drzewa przybywają do fabryki i tam drogą zawiłych sposobów chemicznych przemienia się to drzewo na najważniejszy składnik pożywienia ludzkiego. Z tych doświadczeń wynika, że w przyszłości nie można będzie wygłodzić podczas wojny żadnego kraju, który posiada drzewo.

Drzewo to poddaje się działaniu kwasów i zamienia się je na cukier — nie na cukier zwyczajny, lecz glukozę, która stanowi podstawowy składnik wszystkich pokarmów.

Glukozę można łatwo zamienić na drożdże, środki odżywcze, na alkohol, żywicę, glicerynę — dla produkcji nitrogliceryny, materjału wybuchowego — i setki innych produktów pochodnych.

Przedsięwzięcie to jest już dzisiaj prowadzone na skalę produkcji komercjalnej i miljony hektarów ziemi w Europie, uważanych dawniej jedynie za rezerwaty drzewa budulcowego, stały się dziś równoważne z glebą uprawną.

Tego odkrycia dokonali: uczony niemiecki Dr. Friedrich Bergius i chemik angielski Dr. W. R. Ormandy. Dr. Bergius pracował na tem polu przez lat piętnaście, Dr. Ormandy przyłączył się do niego dziesięć lat temu.

Brytyjskie firmy, które wspierały Dr-ów Bergiusa i Omandy'ego będą miały udział w zyskach, jakie to odkrycie przyniesie.

Dr. Ormandy opowiada o swoich doświadczeniach.

Uczeni oddawna wiedzieli, że można drzewo zamieniać na cukier, ale to było możliwe tylko w rozmiarach laboratoryjnych. Nikt dotychczas nie podejmował produkcji tej na skalę handlową i nikt nie był w stanie oddzielić kwasów od cukru, ani oczyścić go w jakikolwiek sposób.

Niemcy zdają sobie sprawę ze znaczenia tego odkrycia, albowiem mają za sobą doświadczenie z ostatniej wojny. Potrzebowały one wówczas gliceryny dla wyrobu nitroglicerynowych materjałów wybuchowych i musiały ją wydobywać z tłuszczowych produktów spożywczych, jak masło i tłuszcze zwierzęce, co pociągało za sobą głodzenie ludności cywilnej.

Teraz jednak sytuacja uległa zmianie, i rząd narodowo-socjalistyczny bacznie śledzi rozwój małej fabryki w Mannheim-Rheinau. Corocznie produkuje się z każdego hektaru lasu tę samą ilość glukozy jadalnej, co z hektaru ziemi uprawnej pod owsem.

Ponieważ tylko połowa wyrabianego drzewa może być zużyta jako materjał budowlany, jasne jest że, gdyby się udało zamieniać resztę na glukozę, ludzkość zdobyłaby olbrzymie źródła surowców dla wyrobu artykułów spożywczych.

Fabryka w Rheinau może obecnie wyrabiać przeszło 6.000 tonn czystych węglowodanów, mogących służyć jako substraty dla wszelkich artykułów spożywczych.

Gdyby kraje posiadające rozległe obszary leśne, jak np. Ameryka, Kanada, Rumunja i kraje bałtyckie, założyły u siebie fabryki typu Rheinau, możnaby produkować cukier drzewny taniej, niż się produkuje cukier trzcinowy w krajach tropikalnych.

Odkrycie to ma takie same znaczenie pod względem usamodzielnienia w dziedzinie dostawy artykułów spożywczych, jak skroplenie węgla w dziedzinie dostawy materjałów pędnych dla motorów wybuchowych.

Chemicy twierdzą, że dwie łyżki stołowe glukozy mogą zastąpić całkowity posiłek. Wszelki pokarm zawierający cukier lub węglowodany, zostaje przedtem przez ślinę i soki żołądkowe zamieniany na glukozę, a potem dopiero strawiony.

Czysta glukoza ulega strawieniu i zamienieniu na energję potencjalną w organiźmie w ciągu 10-u minut. *„The Sunday Express" Londyn.*

Lilipuci ślub

Jak ludek lilipuci się uweźmie, potrafi zdobyć się na czyny i gesty, jakich i wielcy by się nie powstydzili. Patrzcie, co za rewja elegancji, co za mobilizacja cylindrów, fraków i dyplomatycznych uśmieszków: jak ślub, to ślub według wszystkich prawideł mody.



Kościół będzie wydawał się niebotyczną górą, stopnie schodów będą nieco za wysokie, ksiądz będzie sterczał wgórę jak dzwonnica; ale cóż to szkodzi?

Ślub odbędzie się comme il faut. Dla zorjentowania się w proporcjach, proszę porównać wzrost narzeczonej i dwóch dziewczynek normalnych.

„Domenica del Corriere", Medjolan.

Ślub jednej z sióstr sjamskich

Siostry sjamskie Hilton znajdują się w kłopotliwej sytuacji spowodu sprawy sercowej. Mimo, że te dwie nieboraczki mają ciała wspólne, serca ich są oddzielne i niezależne. Otóż — co za przykra sytuacja — jedna z nich zakochała się i zamierza wyjść zamąż!

Z ludzkiego punktu widzenia jest to rzecz zrozumiała i nawet wybaczalna. Mniej wyraźne i mniej usprawiedliwione jest stanowisko młodzieńca, który ten flirt rozpoczął i, co więcej, kontynuował. Ale najtrudniejsze było chyba położenie urzędu ślubów cywilnych w Nowym Jorku, do którego wpłynęło podanie o zezwolenie na ślub ze strony owego właśnie młodzieńca i sióstr sjamskich.

Dotychczas, zdaje się, urzędnicy jeszcze nie powzięli w tej sprawie ostatecznej decyzji, przyczem ustosunkowują się raczej negatywnie do projektowanego małżeństwa. Narazie sprawa jest w zawieszeniu, ku utrapieniu Urzędu, no i „last but not least" narzeczonych i tej trzeciej.... W każdym razie narzeczeni, postępują w oczekiwaniu wypadków, jak narzeczeni — całują się. *„Domenica del Corriere" Medjolan*



Uścisk jednej z sióstr sjamskich.

Film z krainy królowej Saby

W Paryżu wyświetlono film Andrzeja Malraux, (laureata nagrody Goncourtów za r. 1933) przywieziony przez niego z podróży powietrznej do legendarnej stolicy królowej Saby. Film ten, nakręcony przez Malraux i Millart'a jest pewnego rodzaju dokumentem, ale jednocześnie świadczy i o tem, że wielki pisarz i doskonały mechanik nie tworzą w sumie dobrego operatora filmowego.

Pokazano nam miasto Sanna z wielkim meczetem, zielone doliny Mareb, ukryte w głębi wąwozów, wspaniałą Dolinę Królów, których majestatyczne grobowce strzeżone są przez mniejsze grobowce ich żołnierzy, wreszcie, widziane z wysokości tysiąca metrów, legendarne miasto Saba.

Corniglion-Molinier, pilot ekspedycji zagaił film zabawnym odczytem. Naśladował dowcipnie staruszków, którzy zarzucali lotnikom, że pomylili pustynię z piaszczystym brzegiem morza i, ponieważ nigdy jeszcze w życiu nie przelecieli ponad górami, wątpili, żeby ktokolwiek mógł tego dokonać. Film jest jednocześnie odpowiedzią na te zarzuty i dokumentem.

„Marianne", Paryż.

„Kupiec wenecki" w Wenecji

„Kupiec Wenecki" w reżyserji Maxa Reinhardta został wystawiony 18 lipca na wolnem powietrzu na Campo San Trovaso. Ta artystyczna impreza, zorganizowana przez rząd i zarząd miejski Wenecji, do której zaangażowano najlepszych artystów włoskich, była częścią uroczystości z okazji wystawy Biennale. Dobra ilustracja muzyczna pióra Vittorio Sabata, następcy Toscaniniego w La Scala, wykonana została przez zespół 80 muzyków pod batutą kompozytora. Przedstawienie samo, w nowem tłumaczeniu Paoli Ojetti, odznaczało się wieloma niespodziankami w realizacji scenicznej i w dekoracjach. 200 nowych kostjumów, projektowanych przez Titino Rota z opery medjolańskiej, wykonano umyślnie na to przedstawienie, a miasto Wenecja, starając się wiernie odtworzyć tło historyczne dramatu, wystawionego w tem samem miejscu, gdzie odgrywa się akcja sztuki Szekspira, oddało do dyspozycji sławnego reżysera gondole i okręty z epoki Dożów. *„Nouvelles Litteraires", Paryż.*

Koń wstrzymuje ruch uliczny w Nowym Jorku

Niezwykłe zjawisko w metropolji U. S. A.

Mallory Black, wychudły koń z białą piersią, stał się wielką sensacją na Times Square, w samem centrum Nowego Jorku o godzinie 2-giej popołudniu, kiedy termomert pokazywał 89 stopni (Farenheita). Zatamował on ruch wozów ciężarowych, taksówek, autobusów i przechodniów w ciągu przeszło 3 godzin.

Była to sprawa zwyczajna. Mallory Black poprostu przysiadł między dyszlami, gdy upał i ładunek towarów, który ciągnął, wydały mu się zbyt nużącemi.

Przypuszczalnie nie było to z jego strony świadomym gestem sympatji dla 35.000 koni pociągowych, pozostających jeszcze w mieście, ale takie było wrażenie tłumów, dla których konie są stosunkowo rzadkiem widowiskiem. Policjanci służby ruchu, doświadczeni w manewrowaniu samochodami wszelkiego rodzaju, byli zupełnie bezradni, kiedy Mallory Black, uwolniony z uprzęży, odwrócił się głową do Rialto Theatre, otrząsnął się i ustawił szeroko rozwarte oczy w rozpalone niebo.

Wśród publiczności niebawem znalazły się osoby doświadczone, które nie szczędziły swoich rad, jak należy postąpić z koniem, zmęczonym przez upał. Wkrótce znalazł się także wąż gumowy, przez który puszczono strumień zimnej wody na konia.

Kary zatrząsł się cały, jak w febrze, gdy zimny strumień wody uderzył w jego skórę. Przewrócił się na chodnik uliczny ku przerażeniu kobiet-gapiów. Tymczasem dzwonki ciężarowców, syreny taksówek i trąbki autobusów wytworzyły okropny hałas i wrzawę.

Plac zapełnił się publicznością tak, że aż czarno było. Z otwartych okien gmachu towarzystwa Paramount i innych drapaczy chmur na placu pracownicy biurowi i stenografistki przypatrywali się temu widowisku — konia na skrzyżowaniu dróg świata.

Przybyło więcej policjantów, oddział piechoty z ulicy West 45, ludzie na rumakach o mokrych bokach i agenci Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami.

Jeden stanął pośrodku placu z kawałem lodu, a trzech innych pomogło mu przyłożyć ten lód do głowy zmęczonego konia, ale koń tylko lekko drgnął, nie odrywając wzroku od nieba.

Wreszcie policjanci oczyścili drogę dla wozów ciężarowych, samochodów i autobusów, ale tłumy znów ją zamknęły. Powtarzało się to kilka razy. Wreszcie o godz. 4 m. 30 przybył ambulans dla koni, który z trudem przedostał się przez stłoczoną publiczność.

Dwudziestu policjantów przy pomocy ochotników spośród publiczności powoli wciągnęli Mallory Black na dużą deskę, umocowaną do dźwigni. Jeszcze piętnaście minut kręcenia korby i koń znalazł się w ambulansie.

Tłok na placu zmniejszał się powoli. Wozy ciężarowe zaczęły kursować nanowo swobodnie, sznur limuzyn potoczył się gładko za niemi, i cud upadłego konia pozostał tylko tematem rozmów wśród przechodniów.

„New York Times“, Nowy Jork.

Trust stalowy przed 5000 laty

Hetycy, był to, jak wiadomo, zdobywczy szczep indogermański, który około r. 2000 przed Chrystusem osiedlił się w Azji Mniejszej i tam połączył się ze szczepem autochtonów Chatti, nie należącym ani do grupy indogermańskiej, ani do semickiej; wciągu krótkiego czasu utworzyło się potężne państwo hetyckie, które objęło całą Azję Mniejszą i panowało nad obszarem między Egiptem a Asyrją przeszło tysiąc lat.

Wykopaliska Texier'a i Humann'a, a w nowszych czasach wielkie odkrycia koło Tel Halaf, ujawniły wspaniałe dzieła sztuki hetyckiej, starożytni Hetycy byli również zdolnymi inżynierami i znali już sztukę obróbki żelaza.

Pierwsza prymitywna tyglowa odlewnia datuje mniejwięcej sprzed 5000 lat. Oczywiście i przedtem już wykuwali ludzie z kruszców broń i różne przedmioty użytkowe; do obróbki bowiem złota, miedzi, lub srebra nie potrzeba wytapiania, gdyż znajduje się je w stanie czystym i można je kuć młotem na zimno. Żelaza nie znajduje się w naturze w stanie czystym. Tém dziwniejszem wydaje się, iż odnaleziono kute naczynia żelazne z okresu, gdy nie znano jeszcze hutnictwa kruszcowego. Rozwiązania zagadki szukać należy w przypuszczeniu, że jest to prawdopodobnie żelazo z meteorów.

Stary sumeryjski dokument z 4 wieku przed Chr. opowiada o „kruszcu niebieskim“. Wskazuje to, że meteory dostarczały surowca dla najdawniejszego „przemysłu żelaznego“. Chemiczne badanie sumeryjskiego żelaznego sztyletu i egipskiego łańcucha wykazały tak wysoką zawartość niklu, jak w żelazie meteorowem.

Gdy uprzytomnimy sobie, jak rzadko dzisiaj spadają na ziemię meteory, lub choćby tylko większe ich odłamki, zrozumiemy, jak cenne musiało być wówczas żelazo.

Wynalezienie techniki hutniczej mniejwięcej w 15 wieku przed Chr. stanowiło ogromny krok naprzód. W tym samym czasie Hetycy wynaleźli również i stal. W t. zw. liście z Tel-el-Amarna czytamy, że król Hetyków Tuszratta przesłał sztylety oraz pierścień z „dobrego żelaza“, t. zn. ze stali.

Ceny stali były wówczas bardzo wysokie. Coprawda spadały już znacznie w stosunku do cen, jakie otrzymywało się 500 lat wcześniej, za czasów wielkiego króla Hamurabiego. Za 50 gramów srebra dawano wówczas 600-700 gramów miedzi, a tylko 400 gramów żelaza. Ale i później żelazo było jeszcze bardzo cenne.

Hetycy byli zresztą przez długi czas jedynymi dostawcami stali i posiadali prawdopodobnie bezwzględny monopol. Panowanie nad światowym rynkiem żelaznym zapewniali sobie w ten sposób, że z zasady nie sprzedawali surowców, a tylko i wyłącznie gotowe wyroby. Prócz tego trzymali swoje metody wytwarzania stali w ściślej tajemnicy i otaczali je nawet pewną mistyczną mgiełką.

Król Hattuszit np. pisze do króla Egiptu, że nie może jeszcze dostarczyć zamówionego oręża stalowego, ponieważ „nie nadeszła jeszcze pomyślna pora na jego przygotowanie“. Jeszcze za czasów Ramzesa II. hetycki przemysł wojenny pokrywał zapotrzebowanie broni Egipcjan. Około r. 1200 przed Chr. mieli już jednak Egipcjanie własną metodę „stalenia“ sztyletów metalowych zapomocą wyżarzania ich w ogniu z węgla drzewnego. Stopniowo i inne narody zdobyły tę tajemnicę i zaczęły same zaspakajać potrzeby swych rynków. Tak skończył się pierwszy na świecie trust stalowy.

„Münchener Illustrierte Presse“, Monachjum.

Kosmetyczne klejnoty

„Kosmiczne“ klejnoty — prawdopodobnie pochodzenia niebieskiego — mimo że są poszukiwane, przypuszczalnie nie będą zbyt obnoszone, ponieważ są bardzo rzadkie. Korale z tego dziwnego kamienia są w pięknym, zielono-żółtym kolorze, przezroczyste i matowe. Analiza mikroskopijna wykazuje, że zawierają liczne pęcherzyki i drobiny pyłu. Nikt nie wie skąd pochodzą te bryłki krzemiennego kryształu. Powszechnie przyjęta jest teorja, że spadły z nieba (tak twierdzi Dr. Spencer z Muzeum Przyrodniczego), ale najnowsza hipoteza mówi, że to kule stopionego krzemienia, wyrzucone z krateru meteorytów.

Te bryłki krzemiennego kryształu jak i kilka innych, znajdujących się obecnie w Kairze odkryto w pustyni Libijskiej, w odległości około 500 mil za Kairem, podczas ekspedycji, prowadzonej przez P. A. Clayton'a.

„The Tatler“, Londyn.

Turcy będą mieli nazwiska

Wielkie Zgromadzenie Narodowe w Turcji uchwaliło ustawę, której mocą używanie nazwisk rodowych staje się obowiązkowe i każda rodzina będzie musiała wybrać sobie nazwisko w ciągu najbliższych dwóch lat. Nazwiska o brzmieniu podobnem do nazw tytułów i godności wojskowych lub cywilnych nie będą zatwierdzane, to samo dotyczy nazwisk nieprzyzwoitych, komicznych, lub cudzoziemskich.

Nazwiska rodowe były znane dawniej w Turcji, lecz w ostatnich dwóch stuleciach stopniowo zanikły, szczególnie po miastach, gdzie turek jest znany tylko po swoich zdrobniałych imionach, których zazwyczaj posiada dwoje. Liczba tych imion jest jednak tak ograniczona, że bardzo łatwo wynikały nieporozumienia, dlatego też dodawano zazwyczaj i imię ojca, jakiś przydomek, albo epitet odpowiadający właściwości lub brakowi osobistemu. Tylko na prowincjach i w handlu zachowano jeszcze do dziś dnia nazwiska. Naogół kończą się te nazwiska na — oglu, lub na — zade to jest na turecką albo perską końcówkę, odpowiadającą słowiańskiemu patronimikon: — owicz. Te nazwiska czasem poprzedzają, a czasem następują po imionach zdrobniałych.

W przyszłości nazwisko będzie następowało po imieniu, prawdopodobnie końcówka — turecka — oglu wyruguje końcówkę perską — zade.

„The Times“ Londyn.

DOBRZE ZASŁUŻONY WYPOCZYNEK



1. *Po tygodniu wytężonej pracy...*



...niedzielny wypoczynek.

„Il 420“, Florencja.

W państwie Dillingera

Oto pierwsze zdanie ogłoszenia, które ukazało się w chicagoskim dzienniku:

„Dziury postrzałowe w ubraniach merezkuje się, nie do poznania. Ceny bardzo niskie.

Któżby się spodziewał, że tak częste są postrzelenia — nawet w Chicago?

„Chicago American“, Chicago.

WYCIECZKI AUTOKAROWE PRZEZ POLA BITWY W AISNE.

Koleje Północne zorganizowały wraz z „Towarzystwem Przewozowem Północnem“ począwszy od 1 lipca do końca września r. b. wycieczki samochodowe na pola bitwy w Aisne.

Wycieczka wyrusza co niedzielę o godz. 13.30 z Place de la Gare w Laon, udaje się przez Chemin des Dames, do twierdzy Malmaison, dalej przez płaskowzgórze Californie, powraca po zwiedzeniu zamku Marchais i Bazyliki Notre Dame de Liesse, na godz. 18.30 do Laon.

Cała wycieczka kosztuje 30 fr.. Bilety autokarowe trzeba nabywać w biurze informacyjnem na Dworcu Północnym do godz. 5 pp. dnia poprzedzającego wyjazd, lub na 3 dni przed wycieczką na każdym dworcu linji Kolei Północnych.

Posiadacz tego biletu korzysta z 40% zniżki do stacji Laon i spowrotem.

Redakcja: Warszawa, Króla Alberta l Nr. 3, tel. 2-33-19, czynna w poniedziałki godz. 18—19. Konto P. K. O. Chronos Nr. 14-9-46.

Administracja: Warszawa, Króla Alberta l Nr. 3, tel. 2-33-19, czynna codziennie 10—13. Prenumerata w kraju: mies. 1 zł. 60 gr., kwart. 4 zł. 80 gr.; zagranicą mies. 3 zł., kwart. 9 zł. Ogłoszenia: za wiersze 1 mm. szerokości 1 szpalty 70 groszy, za tekstem; 90 groszy w tekście.

Redaktor odpowiedzialny: **Michał Sass.** Wydawca: **Wydawnictwo „Chronos“ sp. z o. o.**

Druk. „Monolit“, Warszawa, ul. Elektoralna 3, tel. 5.81-92.